



Mirosław Derecki

ZNANI I NIEZNANI: Z GŁOWĄ!

Nazwisko moje Walczak, imię - Stanisław, lat temu trzydzieści ujrzałem świat we wsi Babin, co to pan wie, „Rzeczypospolita Babińska” kiedyś była, szlachta tam piła i ucztowała, różne ciekawe historyjki do śmiechu przy tym sobie wymyślali, aż sława o Babinie poszła na całą Polskę. Ale o chłopach tutejszych nikt ani wspomniał, ani pomyślał. A my sobie cicho, spokojnie, od wiek wieka w Babinie trwali no i proszę: dwór wspaniały pod ziemię się zapadł, wzgórek niewielki tylko po nim został, a chłopskie domy we wsi jak stały tak stoją. I choć się dużo po świecie ludzi rozchodzi ja na przykład do Strzeszkowic pobliskich, do teściów, na gospodarkę, wyemigrowałem, a starszy brat aż w Opolszczyźnie pegeerem gospodarzy, to do Babina wszystkich jednak ciągnie i byle wolna chwila - człowiek wyskakuje do starego domu i rodziców odwiedzić i przypomnieć sobie, jak tamtejsza ziemia pachnie. Tak to, tak. Sentyment pozostał, a że życie idzie naprzód i z życiem trzeba iść, o swojej rodzinie założonej i o swojej pracy myśleć, a że tam człowiek się od czasu do czasu w tył, na dzieciństwo, obejrzy, nie jest to złe. Zawsze nam tatuś powtarzał, że serce trzeba mieć do tej ziemi, na której się pracuje, ale i do tamtej łąki, na której się kiedyś, kiedyś krowy pasalo - także.

Ja ojcu wierzę, bo to człowiek mądry. I jak to się mówi dzisiaj: - świątły. On już we wczesnej młodości, a ile to lat temu było, grubo przed wojną, zdał sobie sprawę, że na samej uprawie kartofli daleko się nie zajedzie i że jak się ma gospodarkę, trzeba się uczyć. Zresztą był „wiciowcem” i oni tam w swoim kole nie jeden raz na ten temat dyskutowali. Sam skończył Technikum Pszczelarskie aż w Pszczelinie, pod Warszawa i obiecał sobie, że wszystkie jego dzieci, a jest nas sześcioro rodzeństwa, powinny mieć przynajmniej wykształcenie średnie. No, nie wszystkie plany życiowe się sprawdzają toczka w toczkę, tak się sprawy układały, że ja na przykład do tego wszystkiego, co zdobyłem, dochodziłem jako samouk, ale znowu inne dzieci osiągnęły o wiele więcej niż sobie ojciec wymarzył; Władek, brat starszy, skończył w Warszawie SGPiS i jest dzisiaj dyrektorem pegeeru, a młodsza siostra, Izabela, studiuje właśnie trzeci rok na Wydziale Rolnym WSR w Lublinie. Podobnie u teściów Krzysztoniów: szwagier, Bolek, jest lekarzem wojskowym, a obie córki zostały na

roli. To zresztą w tej chwili na wsi jest typowe - pęd do nauki przemieszany z przywiązaniem do ziemi. I stąd - powroty „ze szkół” do środowisk prowincjonalnych, tam gdzie się ma stały kontakt z przyrodą. Młodszy mój brat skończył w Lublinie technikum mechaniczne, a jednak siadał na roli, drugi brat – już bardziej normalnie: po technikum rolniczym pracuje w Bełżycach jako sekretarz Powiatowego Związku Kółek Rolniczych, ale co na przykład kazało najstarszemu bratu, magistrowi, ekonomście, pchać się na wieś? Ano, chyba właśnie to przywiązanie do ziemi...

Ja też długo wahałem się, co robić. Mogłem zostać w wojsku, skończyć szkołę podoficerską, może i oficerską, w wojsku czułem się dobrze, moja jednostka stacjonowała w Warszawie, wie pan: ludzie, ruch, neony, „światło i dźwięk” jak to się mówi. W sumie rzeczy atrakcyjne, pociągające. Z drugiej strony ciągnęło mnie do naszego gospodarstwa. Wie pan, ojciec to ładnie przez lata rozkręcił: półtora hektara pięknego sadu, kilkanaście uli, pszenica, cośmy ją razem siali... Bo przed wojskiem ciągnęliśmy gospodarkę wspólnie z ojcem po tym, jak musiałem rzucić technikum rolnicze po pierwszym roku, bo ojciec ciężko zachorował i kto miał w polu robić? Żal mi wtedy było ojca: stary społecznik, przez wiele lat radny w powiatowej radzie, działacz w PZGS, członek ZSL, dobry rolnik - wszystko to musiał pewnego dnia odłożyć na półkę i po doktorach jeździć.

Aaa, machnąłem w końcu ręką na wojsko! Pierwszy raz w życiu wstecz się obejrzałem. Czy tam w Babinie nie leży dziesięć hektarów? Czy ja nie gospodarski syn? I wróciłem.

I co? Wszystko nie tak się ułożyło, jak sobie planowałem. To znaczy bardzo dobrze się ułożyło - ale całkiem inaczej. Kobieta - proszę pana. Dziewczyna. Z sąsiedniej wioski. Ze Strzeszkowic. Wanda.

Znałem ją już grubo wcześniej, jeszcze przed wojskiem. Ale takie to było chodzenie: po prostu - koleżanka. Jej koło ZMW i moje koło z Babina, gdzie byłem przewodniczącym, zorganizowało zabawę. Spojrzałem - siedzi pod ścianą dziewczyna ładna, miła. Poprosiłem do tańca, zaprowadziłem do bufetu, znowu parę tańców i do widzenia, cześć, do następnej zabawy. I tak się kolegowaliśmy. Od zabawy do zabawy, od przypadku do przypadku. W wojsku już więcej o niej myślałem, po wojsku jeszcze więcej. Widziałem, że Wanda spokojna, pracowita, gospodarna, ale najbardziej mi do serca przemawiało, że - jak by to powiedzieć - bardzo zgodne mamy charaktery. Jedno coś pomyśli, a już drugie wie, o co chodzi. Może jej sąd był o mnie taki sam... Co tu dużo mówić, ani się obejrzeliśmy, a już było po ślubie. W 1968 roku ślub braliśmy. W dziewięć miesięcy urodziła się córka, Marzenka.

„Jakie to moje życie teraz będzie?”. Takie sobie nieraz wtedy zadawałem pytanie. „Z głową ono będzie, czy bez głowy?”. Skąd te myśli... Otóż duże wrażenie wywarła na mnie historia, jaka się wówczas wydarzyła w Krężnicy Jarej. Jest tam bardzo stary cmentarz. Niektóre groby tak się zapadły w ziemię, tak zarosły trawą, że ani poznać, że ktoś

pochowany... Więc grabarze kopali ziemię pod nowy grób i znaleźli trumnę metalową, zalutowaną. Kiedy otwarto tę trumnę, leżał tam rycerz pięknie ubrany, w zbroję zakuty. Tylko głowy nie miał.

I stąd właśnie moje myśli: że kiedyś, szlachta, tyle rzeczy robili właśnie „bez głowy”, tyle Polski zmarnowali, a my dzisiaj rozumem się wszak kierujemy i rozumnie gospodarzymy, ale znowu nie zawsze się to przecież sprawdza w przypadku indywidualnym i wiele się czynników składa na to, czy życiem naszym uda się nam pokierować „z głową” czy też bez... Otóż ja się przede wszystkim obawiam, czy dobrze mi się życie z teściami ułoży na tej wspólnej gospodarce, bo takie się nieraz rzeczy w tym względzie i w mieście i na wsi przydarzają, że lepiej nie wspominać...

Teść, człowiek już starszy, gospodarzy od lat na tych dziesięciu mała hektarach, przyzwyczał się do swoich metod pracy, ja znowu chciałbym wprowadzić swoje, a w dodatku mam zamieszkać w jego domu, który on sobie dwadzieścia lat temu własnymi rękami, na własny gust wystawił... Ja byłem przyzwyczajony do pracy w oparciu o podręczniki rolnicze, o fachowe broszury, w domu, w Babinie, prenumerowało się stale i nadal prenumeruje „Rolnika Lubelskiego”, „Młodego Rolnika”, „Plon”, „Agrochemię” - co teść na to powie? Prowadził gospodarkę ogólnotowarową, mnie się marzyło gospodarstwo specjalistyczne - hodowla krów mlecznych i trzody chlewnej.

Ano, dobrze. Z początku ni tak ni siak, obchodziliśmy się obaj z teściem powolutku, z przyważeniem na dystans. Od teścia słowo jakie trudno jest wydobyć, mrukliwy on jest z natury.

Najpierw zamiarowaliśmy z żoną kupić telewizor, miałem trochę jeszcze z kawalerstwa pieniędzy odłożonych, więc pomyślałem - okno na świat jest potrzebne, rolnik w ziemi grzebie, ale zagrzebywać się na wsi przecież nie musi. Mówimy więc: „Tato, tak i tak, kupujemy telewizor, co tato na to?” Pomilczał, uśmiechnął się pod nosem, znowu pomilczał, aż mówi: „Jak macie dobry pomysł - po co pytać? Dorośli jesteście czy nie? Sam chętnie popatrzę. A ty przecież, Stasiu, współgospodarzem tutaj jesteś. Twoja decyzja - moja decyzja”.

I coś wtedy między nami pękło. Jakaś przegroda.

Teść jest człowiek mrukliwy, ale rozum ma. Zaczęliśmy siadać wieczorami i obliczać, co by należało zmienić w gospodarstwie i jak skierować je na bardziej nowoczesne tory. Dałem pomysł, żeby podprowadzić wodę do domu i do obory. Do starej obory, tam gdzie teraz mamy magazyn na zboże. „No, dobrze, powiada teść. A skąd pieniądze na to? Wiesz, ile taka rzece kosztuje?” „Tyle, co silnik i rury - odpowiadam - Projekt wezmę z fachowych pism, a resztę sam zrobię”. Bo ja od dziecka mam do mechaniki smykałkę, do budownictwa też, nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale tak właśnie jest. „W porządku - on na to. - Zaczynaj

w imię Boże, a ja od ciebie deklaruję się na pomocnika. Może się czego jeszcze na stare lata nauczę”. Zbiornik postawiliśmy na strychu obory, przy stanowiskach krów zainstalowało się eleganckie, samoczynne poidła, w domu woda leci z kranu, a jeszcze kupiliśmy w PZGS-ie w Niedrzwicy wannę i zrobiliśmy w letniej kuchni łazienkę. Trochę nam glazura na ścianie wyszła nie za równo, ale na wiosnę się poprawi. Łazienka jest z gorącą wodą, bo zamontowaliśmy elektryczny bojler.

Na tym na razie stanęliśmy, bo równocześnie powiększyliśmy gospodarstwo, dokupiliśmy półtora hektara gruntu, a to był duży wydatek - sto tysięcy złotych. Dopiero po dwóch latach, jak trochę ochłonęliśmy z długów, pomyśleliśmy o postawieniu nowoczesnej obory. Takiej, w której można by już rozpocząć hodowlę na większą skalę. Ceny żywca poszły akurat w górę, więc był sens hodować. Wziąłem 50 tysięcy pożyczki z Banku Rolnego, typowy projekt przerobiłem na nasze potrzeby, zamówiło się murarzy i w 1971 roku zaczęliśmy. Można było przy okazji zacząć stawianie nowej stodoły, bo ta stara, strzechą kryta, już nam nie odpowiada, ale rzecz w tym, że powiat bełżycki jeszcze nie ma przyznanych ulg inwestycyjnych dla młodych małżeństw rolniczych, więc ze stodołą musimy trochę poczekać. No i przydałaby się nowa chlewnia. W oborze zaczyna być już trochę ciasno: koń, 7 krów dojnych, 5 macior, 9 prosiąt i 6 warchlaków. Krowy dają rocznie po 3500 l mleka, w ubiegłym roku sprzedaliśmy 45 warchlaków, 25 tuczników i 5 bekonów. Ale gdybyśmy dostali z Rejonowego Zakładu Doświadczalnego w Końskowoli dotację na chlewnię, nastawilibyśmy się na produkcję 100 sztuk trzody chlewnej rocznie. Co do krów, to sprzedaliśmy w tamtym roku 7 cieląt Przedsiębiorstwu Obrotu Zwierzętami Hodowanymi do dalszej hodowli. No i poszło na sprzedaż 6 ton pszenicy.

Tutaj ja się muszę pochwalić, ostatnio 45 kwintali pszenicy z hektara i to sobie liczę za duży sukces.

Ja się nie lubię zamykać we własnej gospodarce. Potrzebny mi ruch, działanie, zmiana miejsca. Może mam to po ojcu, może i wojsko ma w tym jakiś swój udział. Jak się tak zliczy wszystkie razem moje funkcje: prezes kółka rolniczego w Strzeszkowicach, wiceprezes Powiatowego Związku Kółek Rolniczych i jeszcze członek Gminnego Komitetu ZSL, to na solidne pełnienie tych wszystkich społecznych funkcji odpadają przynajmniej dwa dni w tygodniu. Czyli gospodarstwo powinno by na tym cierpieć. Ale w tym zasługa mojego ojca, że on nauczył mnie rozplanowywać czas. Więc zamiast żeby się produkcja waliła, to ja zostałem uznany za mistrza urodzaju powiatu bełżyckiego i w nagrodę ufundowaną przez ZMW pojechałem na wycieczkę do Leningradu, Tallina i Wilna. Piękne miasta, wspaniałe zabytki. Tylko trochę żałowałem, że zabrakło czasu na obejrzenie gospodarstw rolnych. Turystyka turystyką, ale chciałby człowiek przy okazji zapoznać się i z czymś z własnego fachu. My na przykład, młodszy rolnicy ze Strzeszkowic, często uczestniczyliśmy w

wycieczkach po kraju, organizowanych przez ZMW i Powiatowy Związek Kółek Rolniczych i zawsze mamy taki „gry-plan”, że część czasu poświęcamy na turystykę, a część na odwiedzanie przodujących gospodarstw w okolicy, potem na zebraniu analizuje się to, co się zobaczyło i co by można z tego wprowadzić we własnym gospodarstwie. Chciałbym tutaj dodać, że oprócz wycieczek, bardzo dużo nam dają różne olimpiady wiedzy rolniczej, organizowane przez ZMW i Przynsposobienie Rolnicze. Brałem udział w takiej wojewódzkiej olimpiadzie dwa lata temu w Okszowie, w powiecie chełmskim, i najpierw zdobyłem tytuł wicemistrza swojego powiatu, a potem moja praca pisemna znalazła się wśród 15 prac wyróżnionych w województwie. Trzeba było opracować cztery tematy; „Produkcja zbóż”, „Hodowla”, „Działalność Kółek Rolniczych” i temat polityczny.

Tak. Mechanizacja i nowoczesność pcha się na dzisiejszą wieś drzwiami i oknami. Tylko trzeba te okna otwierać. U nas w Strzeszkowicach mamy 120 członków kółka rolniczego, na nich przypada 15 ciągników, 8 snopowiązałek, 8 pługów, 6 kultywatorów, 8 przyczep do ciągników, 3 opryskiwacze „Termit”... a już zdajemy sobie sprawę, że to za mało, że żeby wszystko szło w gospodarstwach jak należy, potrzeba jeszcze trzech ciągników „C-330” i kombajnu „Bizon”.

Zaś żona moja zapotrzebowała sobie ostatnio samochód osobowy. I tutaj się jednak różnimy, „Poczekaj powiedziałem. – Poczekaj z tym samochodem. Najpierw baza, a dopiero potem nadbudowa. Najpierw stodoła i chlewnia. Jak już wytypowano nas na powiatowe gospodarstwo przykładowe, jakich tylko trzy w całym powiecie, jak już znajdujemy się pod opieką Rolniczego Rejonowego Zakładu Doświadczalnego w Końskowoli, to niech to też będzie gospodarstwo nowoczesne od a do zet”. Tu mnie też teść poparł i ona wreszcie sama przestała nalegać. Mówiłem wszak, że charaktery mamy zgodne. I w tym jest chyba całej rzeczy sedno. Bo wie pan – praca pracą, nowe metody nowymi metodami, doświadczenie doświadczeniem, zdolności zdolnościami, ale tak na zakończenie powiem, że nie wyszło by nam to wszystko, jak wychodzi, gdyby były jakieś zatargi w domu, w rodzinie. A tak – pracujemy wspólnie, rozumiemy się, lubimy się. A to jest podstawa.

Pierwodruk: „Kamena”, 1973, nr 5, s. 1,6-7.